

Kerim czyli pesymizm

Kerim po tragicznej śmierci ojca zamordowanego w biały dzień przez żołdaków Saddama, jako najstarszy z dzieci prowadzi dalej rodzinny biznes, przydrożną restaurację, a dokładniej budę z dziurawym dachem. I wysłuchuje opowieści przybywających z daleka gości. Oto jedna z nich:

Zanim Falludża stała się miastem widmem, Amerykanie jako tako kontrolowali miasto. Któregoś razu w biedniejszej dzielnicy zaczęli coś budować. Mieszkańcy przyglądali się na milczka, ale z rosnącym zainteresowaniem. Nikt nie wiedział o co chodzi. Ze dwudziestu żołnierzy amerykańskich w temperaturze 40 stopni w cieniu spijając litry przywiezionej ze sobą wody mineralnej i tyleż samo potu wydalając, przez kilka dni żwawo coś budowało. Buldożery wykopały głęboki dół, do dołu wsypano zebrane z okolicznych ulic śmieci, zakopano, wyrównano...

To coś na końcu okazało się być boiskiem do piłki nożnej, ze wszystkimi szykanami, z wyrysowanymi liniami, bramką, a nawet siatką do bramki. Amerykanie widzieli chłopców grających w piłkę wśród stosów gnijących śmieci i postanowili im zrobić prezent. Przez dwa dni nikt nie zbliżał się do boiska. „Jakby było zamknięte na niewidzialny zamek, do którego nikt nie ma klucza.” A potem nocą przyjechało ze dwustu mężczyzn, rozkopali wszystko, rozwłóczyli z powrotem śmieci, zniszczyli bramki, zatarli linie... i odjechali.

To prawdziwa historia, wiem, bo zapytałam o to autora książki. Nie ma w tej książce nieprawdziwych historii. Albo Sherko Fatah był ich naocznym świadkiem, albo znał je z bezpośrednich relacji, albo... książkę otwiera scena śmierci kilku kurdyjskich kobiet. Nad pole, gdzie zbierały do wielkich koszy zioła, nadleciał helikopter z żołnierzami reżimu Saddama Husajna. Wylądował i zgarnął kobiety do środka. A potem wylatywały po kolei z lecącego helikoptera trzepocząc na wietrze kolorowymi spódnicami. Żołnierze się zabawili. Tę historię autor znalazł w archiwach procesu Saddama.

Nikt nie wybiera sobie miejsca i czasu swojego przyjścia na świat. Kerim urodził się właśnie w takim miejscu i w takim czasie: w Iraku Saddama, który miał się stać Irakiem wojny Amerykanów z reżimem, stać się Irakiem zwycięstwa nad Saddamem i stać się Irakiem klęski w walkach z wyrzynającymi się nawzajem wrogimi sobie ugrupowaniami religijno-politycznymi.

Kerim nie ma zbyt wygórowanego wyobrażenia o swoich możliwościach w swoim świecie. Wraz ze śmiercią ojca skończyło się dla niego względne poczucie stabilności i bezpieczeństwa. Już przed śmiercią ojca pomagał w gotowaniu posiłków dla gości, przysposabiał się do przyszłego zawodu kucharza-restauratora-od-sypiącej-się-budy, o innym nie mogło być mowy. Ale chodził też do szkoły, uczył się nawet angielskiego. W przeciwieństwie do stania nad kuchnią i wdychania oparów oleju i spalenizny naukę lubił, a angielskiego uczył się z prawdziwą przyjemnością, co bardzo miało mu się przydać w niedalekiej przyszłości, znacznie bardziej niż umiejętności kucharza. I znacznie szybciej, niż przypuszczał.

Zanim jednak znajdzie się w Europie, gdzie jego ubogi angielski okaże się jego największym kapitałem, zostanie porwany przez „bożych wojowników”, miejscowych mudżahedinów, grupkę fanatyków walczącą z władzami kurdyjskimi sprzyjającymi Amerykanom i „mieszkańcami zarażonymi zachodnią niewiarą”, i stanie się jednym z nich. Walka ta polegała na zabijaniu bezpośrednim, podrynaniu gardeł, lub pośrednim, samobójczych zamachach. Oni nazywają się „bożymi bojownikami”, my ich nazywamy terrorystami. Kerim, ten w sumie sympatyczny, niemrawy, przytłustawy chłopak, prosty kucharz w wiejskiej knajpie, stał się terrorystą. Przepadł.

Ale szczęście uśmiechnęło się do niego. Uciekł. Najpierw towarzysom-terrorystom, potem z domu, potem z Iraku. Do lepszego świata. Do Europy. Do nas. Nie, nie do Polski, Polska jest jednym z najmniej atrakcyjnych krajów dla imigrantów z biedniejszej reszty świata. Do Niemiec, jednego z najbardziej atrakcyjnych krajów dla uciekinierów, jednego z najbogatszych i choć już jednego z najbardziej przeciążonych „problemem imigracji”, to najlepiej

przygotowanym, jakby na to nie patrzeć.

Droga, jaką przyjdzie przebyć Kerimowi, żeby dostać się do „wymarzonego raj”, przypomina krew w żyłach mrozące przygody Kandyda, naiwniaczka-optimisty z XVIII-wiecznego świata Oświecenia Woltera. Kerim też jest poczciwym „naiwniaczkiem”, tyle że ze znakiem minus, naiwniaczkiem-pesymistą. Nic dziwnego. Jego świat nie zaczyna się w zamku z piękną Kunegundą i profesorem od optymistycznej filozofii do kompletu. Jego świat to cuchnący smażony olej, wiecznie zapracowany małomówny ojciec, zastrachana matka i bezsilny wobec wydarzeń nauczyciel angielskiego. A potem nauczyciel-Nauczyciel, terrorysta, przygotowujący go do samobójczej śmierci z imieniem Allaha na ustach. Kerim nie ma powodu do optymizmu.

Ale my, śledzący jego przygody i trzymający za niego kciuki czytelnicy, mamy. Do naszego świata przecież zmierza i choć nasz świat go nie oczekuje, to jednak u nas ludzie się nie zabijają tylko dlatego, że śmierć jest możliwością, nasz świat jest „lepszy”, nasz świat go nie odrzuci, da mu szansę. Czy da?... Czy Kerim-pesymista ma szansę na spokojne uprawianie swojego kawałka rajskiego ogródka tu na ziemi, jak Kandyd-optimista?

Sherko Fatah opisuje pełną (bardziej złych niż dobrych) przygód historię kurdyjskiego chłopaka językiem oszczędnym, pozbawionym emocji i ozdobników. Czytelniku, zobacz jak inny może być świat, jak inny niż twój, jak inny, niż ten, który znasz z prospektów biur turystycznych, i niż ten, który miga w telewizyjnych wiadomościach. Powoli, nieśmiało, ostrożnie świat ten też zaczyna docierać do naszej świadomości dzięki przecierającym szlaki artystom, tu: artyście słowa. Nie jest to świat ani jasny do zrozumienia, ani przyjemny do wintegrowania, ale jest obok, istnieje w tym samym czasie, w którym przyszło nam żyć.

Niektórzy spośród nas są łącznikami między obcymi sobie światami w jak najbardziej dobrym tego słowa znaczeniu, jak Sherko Fatah, pół-Niemiec, pół-Kurd. Przedstawiają nam ludzi z tamtej strony świata z imienia, twarzy, światopoglądu, a także lęków, niezrozumienia, pogubienia. Autor „Czarnego statku” w wywiadzie dla Wysokich Obcasów [1] podsumowuje: *„Przyjeżdżają do Europy, podpatrują, wracają do Kurdystanu. Potrzebują wsparcia z zewnątrz, a to wymaga, by Europa zrozumiała, że inwazja na Irak, choć problematyczna, ma jednak zbawienne znaczenie dla Kurdów. I że nie da się cofnąć czasu.”*

*

Sherko Fatah, „Czarny statek” („Das dunkle Schiff”), tł. Elżbieta Kalinowska, wyd. Czarne, seria Proza Świata, Wołowiec 2010, cytaty z okładki:

„Książka pulsująca życiem. Przerazająca w swej wiarygodności” (Die Zeit)

„Na wskroś polityczna i przejmująca” (Der Spiegel)

„'Czarny statek' to ściskająca za serce, zapierająca dech w piersiach lektura” (Der Tagesspiegel)

Wywiad z autorem „Czarnego statku” przeprowadzony przeze mnie (po niemiecku) dla PISMA KWARTALNIK w październiku 2010 w czasie pobytu pisarza w Krakowie :

Pana językiem ojczystym jest język niemiecki, pana mama jest Niemką, jest pan urodzonym w Niemczech niemieckim pisarzem, a mimo to niektórzy recenzenci pana książek piszą o panu „Kurd”...?

- Tak, Niemcy mają problem, bo wszystko chcą „dla porządku” sklasyfikować według jasnych kryteriów, a sprawy ludzkie są złożone. Kiedyś mój brat załatwił coś w jakimś urzędzie i okazało się, że przy jego nazwisku stoi informacja „Irak”. Zdenerwował się, Irak to dla niego kraj rodzinny naszego ojca, ale nie nasz, nasz to Niemcy:

*„Jak długo to tam jeszcze będzie? Przez ile pokoleń? Mój syn? Mój wnuk będzie miał w papierach 'Irak'?"
Urzędnik nie wiedział.*

- Jeden z pana bohaterów, Algierczyk, mieszkaniec domu oczekujących na azyl „o oczach czarnych jak węgiel” ma na imię Ervin i bardzo jest z tego powodu dumny. To niemieckie imię daje mu przewagę nad innymi. Jak kiedyś tzw. „dobry wygląd”. A pan, urodzony w Niemczech syn Niemki ma egzotyczne imię i nazwisko...

- Nadano mi imiona zgodnie z patriarchalną tradycją mojego ojca, Kurda. I Sherko, i Fatah to imiona. Fatah po pradziadku. Mam więcej imion, ale w Niemczech zostawiono mi tylko dwa, jako imię i nazwisko. Mój ojciec żył z dala od ojczyzny, więc choć tym sposobem chciał zaznaczyć swoją przynależność kulturową. Nie mam z tym problemu, moja mama też nie miała, za to Niemcy mają problem. Ale mieszanie się narodów i kultur to przecież proces nie do powstrzymania od początków świata, bez względu na niemiecki zmysł przyporządkowywania.

- Pana pierwsza książka „Im Grenzland”, „W krainie nadgranicznej” (tłumaczenie tytułu moje, książka nie została wydana po polsku), ukazała się w 2001 roku, debiutował pan w wieku 37 lat, co na to pana rodzina?

Początkowo była sceptyczna, bo to ciężki kawałek chleba, ale teraz, gdy powoli zaczynam odnosić sukcesy, jest ze mnie dumna. „Czarny statek” doczekał się tłumaczeń na wiele języków, teraz na polski, jest też przetłumaczony na angielski, arabski, chiński... co bardzo mnie cieszy, zwłaszcza tłumaczenie na arabski ze względu na ojca i moją rodzinę w Iraku.

- Ale język Kurdów to nie jest język arabski?

- Kurdyjski jest językiem należącym do grupy języków indoeuropejskich, jesteśmy narodem indoeuropejskim, ale alfabet mamy arabski i rozumiemy arabski. To złożone, wiele jest dialektów kurdyjskich z domieszką języków krajów, w których mieszkamy, nieistniejący jako państwo Kurdystan leży w granicach Turcji, Iraku, Iranu i Syrii...

- Jak to się stało, że ojciec pana znalazł się na początku lat 60. zeszłego wieku w Niemieckiej Republice Demokratycznej? Wtedy ludzie z tamtych stron przyjeżdżali do Niemiec Zachodnich, do pracy, ale do Wschodnich?

- Od dawna utarła się taka tradycja, że Kurdowie starają się wysłać kogoś z rodziny na wyższe studia do Europy, cała rodzina składa się na to, żeby wykształcić choćby jednego przedstawiciela rodziny. Rodzice taty wtedy już nie żyli, umarli młodo, śmiercią naturalną, mój wuj wyekspediował mojego przyszłego ojca do Niemiec Zachodnich a tam, w ramach jakiegoś programu, ojciec dostał stypendium na uniwersytecie w Berlinie Wschodnim. Wkrótce poznał moją mamę. Pobrali się i tak ojciec został w Niemczech. Ale on — i my, jego rodzina, byliśmy uprzywilejowani, bo mogliśmy wyjeżdżać, wtedy w NRD było to rzadkością, że ktoś mógł wyjeżdżać i wracać. A my często jeździliśmy do Iraku. W roku 1975 zamieszkaliśmy nawet na dłużej.

- Był pan więc od dziecka dwujęzyczny?

- Nie, znam kurdyjski i arabski, ale nie tak dobrze jak niemiecki. Wtedy taka dwujęzyczność nie była w Niemczech Demokratycznych mile widziana.

- Ale Irak zna pan dobrze?

- Regularnie jeździliśmy na wakacje do rodziny. Licznej, jak to u nas. Mieszkającej w różnych miejscowościach. Dopiero w ostatnich latach trzeba było ograniczyć wyjazdy, a im bliżej Bagdadu, tym gorzej.

- Czy bohater pana książki, Kerim, ma jakiś swój prototyp w życiu? Czy to raczej kompilacja różnych

znanych panu osób?

- *Raczej to drugie. Kerim to postać fikcyjna, ale złożona z cech różnych osób, które poznałem w życiu. Jeździłem do Iraku, rozmawiałem z wieloma ludźmi, zaglądałem do kawiarenek internetowych tu, w Berlinie, gdzie całymi dniami przesiadują imigranci oczekujący na decyzje auslaenderamtu co do ich dalszych losów. Rozmawiałem nawet z byłymi „wojownikami boga”.*

- I tak narodził się pomysł na książkę? Czy pamięta pan ten moment?

- *Pamiętam jak któregoś razu w czasie podróży przez Irak znalazłem się w restauracji, która właściwie była straszną ciemną pieczarą, osmaloną dymem i przesiąkniętą ciężką oleistą wonią niezliczonych dań przygotowywanych przez kucharza na oczach wszystkich na czymś w rodzaju paleniska. Pomyślałem sobie wtedy, że opisujemy ludzi żyjących w średniowieczu, a nie opisujemy nam współczesnych...*

- Niedawno, po ukazaniu się książki Thilo Sarrazina „Deutschland schafft sich ab”, „Niemcy likwidują się same”, rozpętała się w Niemczech dyskusja na temat muzułmańskich imigrantów, czy zapraszano pana do udziału w debatach?

- *Nie, ale pilnie się im przysłuchiwałem. Cóż, zderzenie dwóch kultur tak odrębnych jak kultura islamu i kultura chrześcijańskiej Europy, to bolesny proces, politycy tacy jak Sarrazin będą próbowali coś ugrać na tym nasilającym się zjawisku społecznym. Europa widzi islam jako monolit, a to bardzo zróżnicowane grupy i ludzie. Po części przedstawiam tę różnorodność w mojej książce. Ojciec Kerima jest właściwie praktykującym niewierzącym muzułmaninem. Ale kontrola społeczna w krajach muzułmańskich jest tak silna, że nie sposób się wyłamać z tradycji, trzeba się pokazywać w meczecie, modlić się ze wszystkimi. Trochę inaczej, choć też niełatwo dla muzułmanina, jest poza granicami ojczyzny.*

- Szacuje się, że do Europy dostaje się drogą nielegalną około pół miliona imigrantów rocznie, wśród nich jest pana bohater, Kerim, czeka go ciężki los, czy nie byłoby lepiej, gdyby został w domu?

- *Młodzi mężczyźni z Iraku praktycznie nie mają wyboru, już jako mali chłopcy wiedzą, że jak tylko dorosną, trafią albo do któregoś ze zwalczających się ugrupowań, albo muszą wyemigrować. Taki jest ich los. Kobiety rodzą synów po to, by ich opłakiwać, bo albo idą walczyć i giną, albo wyjeżdżają i nie wracają. Tradycja mówi, że rodzina jest bardzo ważna, ale te pierwotne struktury społeczne są rozbite, panuje głód i poczucie braku perspektyw, Europa wydaje się być rajem na ziemi. Nikt nie wie, jak to jest być emigrantem, jaka droga do tego prowadzi, dopóki nie przekona się na własnej skórze. A wtedy już praktycznie nie ma odwrotu.*

- Dlatego książka Sarrazina cieszyła się takim powodzeniem, ale wszyscy wiemy, jak bardzo niebezpieczny jest to kierunek.

- *Tak, książkę Sarrazina kupiło już ponad milion czytelników. Znamienne jest, że do roku 1945 najbardziej poczytną książką był „Mein Kampf” Hitlera, a po 1945 właśnie „Deutschland schafft sich ab” Sarrazina. I to w tak krótkim czasie od jej ukazania się. Muzułmanie w Europie to bardzo poważny problem, ale nie da się go rozwiązać populistycznymi metodami. Sarrazin krytykuje cudzoziemców, że nie uczą się języka, nie chcą się integrować, ale który Niemiec chce mieć Turka za swojego szefa?*

- A co sądzi pan o problemach Francji z imigrantami? To wygląda inaczej, niż w Niemczech, bo są to ludzie z dawnych kolonii francuskich, mają francuskie paszporty, mówią po francusku, a jednak Francja sobie z nimi nie radzi...

- *Właśnie na przykładzie Francji widać, jak bardzo Sarrazin się myli. Francuscy imigranci znają język, a jednak jest wśród nich duże bezrobocie, duża przestępczość, mieszkają w najgorszych dzielnicach, awans społeczny mają*

bardzo utrudniony. Posługują się tym samym językiem, co rdzenni Francuzi, chodzą do francuskich szkół, ale ich szanse na przyszłość są o wiele gorsze. Dlatego czują się obywatelami drugiej kategorii. I takimi są. Z drugiej strony działania muzułmańskich ekstremistów powodują, że sympatia społeczeństw europejskich dla idei wielokulturowości stopniała. Nie wiem, jak sobie z tym poradzić, nikt nie wie, na tej niepewności wypływają takie groźne pomysły, jak Sarrazina, że niektóre narody są genetycznie gorsze od innych. To na pewno będzie dużym wyzwaniem dla pokoleń przyszłości. Ale sytuacja jest inna, niż wtedy, gdy narodził się antysemityzm z jego chorymi ideami dzielącymi ludzi na nadludzi i podludzi. Dziś to rdzennych Niemców, tych, dla których pochodzenie jest tak bardzo ważne, nazywa się z lekkim przekąsem „Biodutsche”, „biologiczni Niemcami”. To oni w ich niechęci do mieszania się ludzi różnych kultur są śmieszni i nieżyciowi. Tego procesu nie da się zatrzymać, ważniejsze jest, żeby odbywał się bez ofiar.

- Bohater pana książki jest właściwie antybohaterem, trudno go sobie stawiać na wzór, ale jednak wzbudza sympatię, czytelnik się z nim identyfikuje.

- Powołując do życia Kerima, irackiego Kurda, niewykształconego chłopca z prostej rodziny, któremu żołdacy Saddama zabijają na jego oczach ojca, ot, tak, za nic, chciałem czytelnikom mojej książki przybliżyć tego „innego”, z innej części świata, innej kultury. Nie chciałem go tłumaczyć, czy usprawiedliwiać, ale chciałem pokazać, jaka droga prowadzi do tego, że ktoś staje się członkiem fundamentalistycznej grupy bojowej, nawet jeśli wcale tego nie chce. Nie umniejsza to jego czynów, ale zrozumienie, jak to się dzieje, że ktoś się ich dopuszcza, być może przyczyni się do zablokowania dróg prowadzących do takiego tragicznego przecież losu, taką mam nadzieję.

- Pana „Czarny statek” porównuje się do najważniejszych powieści w literaturze, pana, jako pisarza, do tych, którzy najwnikliwiej opisywali złożoność losu ludzkiego, do Wiktora Hugo, do Dostojewskiego... Kerim jest niby zwykłym kurdyjskim chłopcem, ale wpisuje się w poczet najbardziej znaczących literackich postaci z ich egzystencjalnymi dylematami, z ich uwiązaniem losem i ich poszukiwaniem wolności.

- Kerim, tak jak inni moi bohaterowie, jest postacią właściwie niepozytywną, nie jest nieprzeciętny, jest niedookreślony, nie ma żadnych szczególnych właściwości, wplątany jest w wir wydarzeń, których w gruncie rzeczy nie rozumie, przydarzają mu się sytuacje, w których nie ma wyboru, może tylko reagować. Kiedy wreszcie postanawia i robi coś sam, to też nie jest to decyzja do końca świadoma, przemyślana, działa, bo musi, szarpie się, popełnia błędy. Tacy bohaterowie są o wiele bardziej interesujący dla pisarza. Myślę, że gdybym żył tuż przed drugą wojną światową, interesowałoby mnie, jak zostaje się mordercą na usługach hitlerizmu. I znowu, nie po to, żeby w jakikolwiek sposób go odciążyć, ale żeby zrozumieć, jak zwykli ludzie stają się groźnymi przestępcami wojennymi. Co ich do tego doprowadza.

- Thilo Sarrazin czarno widzi przyszłość, za sto lat Niemcy jako naród przestaną istnieć, lub przynajmniej znacząco zgłupieją. A pana zdaniem jaki będzie świat za sto lat?

- Na pewno inny. I na pewno wydarzenia następnych stu lat nie będą należeć do najłagodniejszych. Czeka nas trudny wiek.

* * *

Sherko Fatah (ur. 1964) jest niemieckim pisarzem o nieniemieckim imieniu i nazwisku — po ojcu Kurdzie z północnego Iraku. Niemiecka rodzina matki pochodzi z Prus Wschodnich, z krainy zwanej Masurien, czyli obecnie polskich Mazur. Sherko urodził się i wychowywał w Berlinie Wschodnim, jako 11-latek wyemigrował wraz z rodziną do Niemiec Zachodnich a konkretniej zamieszkał po drugiej stronie muru dzielącego Berlin, czyli przeprowadził się z jednej ulicy na inną tego samego miasta. Dziś mieszka — ponownie — we wschodniej dzielnicy połączonych Berlina. Jako dziecko mieszkał też krótko w Wiedniu z rodzicami. Studiował filozofię i historię sztuki. „Czarny statek” jest jego czwartą powieścią.

* * *

tekst pierwotnie napisany dla pisma KWARTALNIK ukazał się także na stronie www.racjonalista.pl

* * *

artykuł Marka Karolkiewicza w "Przeglądzie" z 9 grudnia 2005 o wydarzeniach w Faludży